

SPORT

W POGONI ZA STRACONYM CZASEM

Już ze Szklarskiej Poręby wystartowaliśmy z dwu godzinnym prawie opóźnieniem. Benzyna trzeba było zastankować, to i owo poprawić i sprawdzić. W dodatku na próbie zrecznosci urwał się nam tylni bieg. Pierwszy punkt kontrolny mamy w Opolu, czyli stąd prawie 250 kilometrów, a na przebycie tej trasy niecałe sześć godzin czasu. Dwie godziny odpadły — zostaje cztery. Przeciętna musi wynosić na trudnej górskiej trasie 60 km na godz. Można zrobić to lekko ale zależy z kim się jedzie.

Jadę z Ripperem. Specjalnie przysiadłem się do niego na górską trasę. Jasio znany wszystkim z czasów przedwojennych jako najlepszy w Polsce kierowca wyścigowy jest specjalistą od jazdy w górach. Samochód jego jest nieco dziwny. 8 cylindrowa Bugatti ma za sobą już przeszło 20 lat, nie cała zresztą bo przez owe 20 lat Jasio stale ją przerabiał i kompletuje. W każdym razie Bugatti chodzi jak zegarek.

Ładujemy się w trzy osoby na przednie siedzenie a mechanik Rippera Mlecho siada na tylnym siedzeniu w klapie, zakopany po uszy w stosie baniek z benzyną.

Stroną szosą jedziemy w dół do Jeleniej Góry. Dziwi mnie wolna jazda Rippera: przed każdym zakrętem zwalnia do ślimaczego tempa, zwalnia również przy mijaniu, przy wyprzedzaniu, zwalnia na lada pretekstem. Oglądam go uważniej bo zdaje się, że się pomyliłem. Nie, zupełnie ten sam filigranowy Jasio w wyszyteczanym białym kombinezonie. Nic nie mówię bo nie bardzo śmiem, ale się pochłutkuo dziwię. Ślimacza jazda trwa do Jeleniej Góry, gdzie nie wiem dlaczego Ripper wstępuje do jakiegoś zaprzyjaźnionego garażu, smaruje Bugatkę, myje benzyną. Wcale nie wygląda jakby miał się śpieszyć a czasu coraz mniej. Wreszcie ubijamy się jakoś, nieszczęsnego Mlecha obkładamy jeszcze jedną zapasową oponą, używając go za żywy stojak i ruszamy.

Jedziemy coraz szybciej. Ripper pyta się ile czasu mamy, coś kalkuluje, poprawia się za kierownicą i naciska wreszcie gaz. Trzeba się trochę pośpieszyć — powiada — bo możemy mieć defekt.

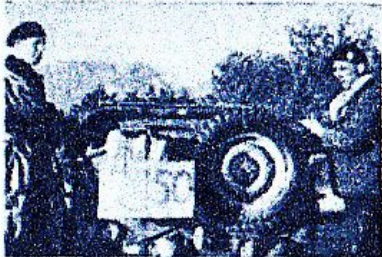
Ledwo to powiedział — siada lewa tylna guma. Zakładamy rezerwe, tracimy kilka minut i dalej... Jasio jedzie do przesydy prawidłowo i zgodnie z przepisami a jak wiadomo u naszych szosach panują pod tym względem stosunki z okresu kamienia łupanego. Przez trzy kilometry ustępujemy minącej ogromny autobus, który nie sobie nie robiąc z niczego, toczy się wolniutko środkiem szosy. Twarr Jasia robi się czerwona, później purpurowa, a wreszcie ślona. Daje sygnał klaksonem, światłem, ambaluje motorem — nic. W końcu mijamy autobus w jakiejś wiosce. Ripper zajechał mu drogę, zatrzymuje się i wyskakuje z Bugatti.

— Wołę nie patrzeć, co się tam będzie działo — oświadcza pani Helena. Rzeczywiście: szofer autobusu dowiedział się absolutnie wszystkiego, co myśli o nim Ripper i wielu jeszcze innych faktów ze swej przeszłości, wyrażonych w formie supozycji.

Po pół kilometrze analogiczna historia z kim innym i tak co pewien czas. Świetnie znakowana droga wije się po pagórkach, widoki coraz ładniejsze ale szybko tracą swój urok gdyż trzaska nam prawa tylna guma



Jan Ripper — 35 defektów



Na postoju pod Giewontem



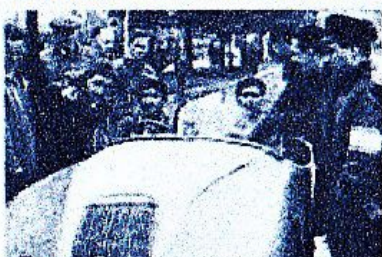
Pierwszy na punkcie kontrolnym



Dzięki Bogu, już niedaleko...



„Grzebanie we wnętrznościach”



Zwycięzca zawodów Wierzbna na Lancii własnej konstrukcji



Defekt na 50 m przed metą

a przy montowaniu jej stwierdzamy, że siada i lewa. Rezerwy się skończyły, więc trzeba kleić. Znowu tradycyjne cenne minuty. Bobi się niedobrze. Wsiadamy do wozu w stanie z lekką podekscytowanym i zrywamy z miejsca w wysiłkowym tempie.

Daśza część aż do następnego gwoźdźca w kieszce jest dla mnie księgą absolutnie zamkniętą. Pamiętam tylko jak przez mgłę urywany ryk potężnego studwudziesto konnego motoru i drzewa niebezpiecznie blisko migające mi koło głowy. Wiatr przedziwnie gwizdał, tracąc się na starożytnych profilach archaicznej Bugatki której wąska maska podskakiwała mi przed oczyma. Szczęściem jedna z opon nie wytrzymała tempa i z hukiem wystrzeliła.

2 minuty później gnaliśmy dalej. Jasio stwierdził, że mamy jeszcze duże szanse zdążyć na czas. Nawet nie bardzo trzeba się śpieszyć. To nie pośpieszenie spowodowało u mnie prawie że atak serca: Smigaliśmy przez wiraże na jakichś niesamowitych szybkościach. Jeżeli nie zapiemy defektu — oświadczył Jasio — to jeszcze przed czasem dojedziemy. W złą godzinę to powiedział. Istotnie, niezawodny motor zaczął niezacznie postukiwać. Przejedźliśmy akurat przez jakieś miasteczko. Stajemy i Jasio zaczyna grzebać pod maską. Przypomina to chirurgowi tylko że Ripper zamiast stetoskopu używa śrubokrętu. W każdym razie identycznym ruchem przykłada go do rozmaitych części motoru i przyłożywszy do niego ucho pilnie nadśluhuje. Diagnoza wypada niepomyślnie, możliwe, że wytopiła się panewka — konstataje na koniec. Trzeba spuścić oliwę i dokładnie zajrzeć. Wpadam na chwilę do jakiejś knajpy na piwo. Po 10 minutach wbiega rozpromieniony Jasio — „jedziemy dalej”. No — dodaje — jeżeli teraz pojedziemy bez defektu, to mamy pewną drobne szanse. Niestety po kilku kilometrach znowu łapiemy gwoźdźca. Zmiana jest dłuższa. Jasio smutnieje. No teraz już nie mamy szans — mówi z rezygnacją. Pomimo tego skomplikowana czynność przekładania gum z przednich kół na tylne dokonana jest w rekordowym czasie. Spoglądamy na zegarek, już jest prawie po czasie a mamy jeszcze 60 kilometrów do Opoli. Ripper pochyla się niżej nad kierownicą. No, teraz musimy jechać ostro — decyduje.

Gdybym twierdził, że słupy kilometrowe wyglądały jak mur to byłbym kompletnym łgarzem. W każdym razie niewiele się z prawdą minę, gdy powiem, że słupy telegraficzne żywo przypominały płot. Licznik u Rippera nie działa i jednym funkcjonującym zegarem jest wskaźnik oliwy, ale bardzo dawno przestaliśmy jeździć „sełką”. Przenieśliśmy się raczej gdzieś w okolicy 150 km na godzinę. Motor wariował zupełnie na wysokich obrotach a Bugatti z niesamowitym wyciem przedziwiała się przez wiraże. Patrząc na zegarek i własnym oczom nie wierzę. Upłynęło dopiero pół godziny a z daleka już widać Opole. Na ostatniej prostej szybkość dochodzi do zenitu. Mijamy inne samochody, które wydają się nam stojącymi w miejscu. Wpadamy na wąskie ulice miasta, ale szybkość niewiele się zmniejsza. Kilka wiraży, przejazd przez most i widzimy już gromadę ludzi na punkcie kontrolnym. Gumy puszczą po asfalcie i stajemy przed stołkiem sądzłowskim. Patrząc na zegarek, ostatnie 60 km przejechaliśmy w 25 minut. Obliczam prowizorycznie w myśli. Rany boskie... Grubo ponad 100 km na godzinę przeciętna... Pytają się czemu się tak dziwię. Mówię, Nikt nie wierzy, ja niby też, ale przecież zegarek mnie od trzech lat nigdy na sekundę nie zawiodł...

TOMASZ DOMANIEWSKI

Zdjęcia: Drodzowski i Ostrowski